Nr. 9. Kraków dnia 5. Października 1893. Rok I.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . . . złr. 4 ct.
półrocznie . . . „ 2 „
kwartalnie . . . „ 1 „
Za przesyłkę pocztową, lub odnoszenie o 40 cent. więcej rocznie.
w Niemczech i krajach należących do związku pocztowego:
rocznie . . . 8 marek. 10 fr.
półrocznie . . 4 „ 5 „
kwartalnie . . 2 „ 3 „

PRACA

Ogłoszenia firm wyłącznie chrześciańskich kosztują: wiersz drobnym drukiem za pierwszy raz 6 centów, przy częstszych ogłoszeniach według umowy.

Rękopisów redakcya nie zwraca.

Redakcya i administracya:
Kraków, ulica Karmelicka L. 17.
Wychodzi dnia 5 i 20 każdego miesiąca.
Numer pojedyńczy koszt. 20 ct.

pismo katolicko-socyalne, poświęcone sprawom społecznym, narodowym, politycznym, artystycznym i literackim ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb klas pracujących.

»Wszystko popierać się godzi, co jakkolwiek ulepsza położenie robotników«.
(Encyklika Leona XIII o robotnikach).

Śród największej biedy, śród szewców i kmieci,
Ojczyzno kochana poszukaj swych dzieci.
(T. Lenartowicz, Kościuszko Cz. II)

ŚWIECZNIK NARODU.

„Miłość i boleść — kosmiczne zarodki
„Wykłują światu chorowód skrzydlaty.“
B. Zaleski

Jak w kościele smutno i pusto się robi, gdy po skończonem nabożeństwie zgasną świece, zamilkną organy, ucichną modły i rozejdą się pobożni, tak w narodzie naszym po skończonem święcie wolności, po tysiącletniej wielkości i chwale, smutek nas dziwny ogarnia, brzemię niewoli młyńskim kamieniem piersi nam przytłacza, że to słońce tego święta już zaszło w narodowej świątyni, zgasło światło wesela, uwiędły wieńce zwycięzkie i coraz ciszej brzmi pieśń pobożności i coraz rzadsze snują się postacie świetnej naszej przeszłości i coraz gęstszy mrok nocy zapada...

Wśród pokoleń wybranego ludu, Bóg wzbudzał proroki i sędzie i wodze co ożywiali upadłego ducha, i targali więzy niewoli i wygasły na ołtarzu ogień święty, zapalali na nowo. Tak w Ojczyznie naszej, gdy nazbyt w niej pusto i ciemno, Bóg wzbudza mężów, co jak słup Mojżeszów, jak pochodnie Gedeona rozpraszają cienie niewoli i na ołtarzu serca, wzniecają gasnący ogień świętego zapału. Taką chwilę nadziei i otuchy, chwilę jasną, promienną, ożywczą, mieliśmy w d. 18. b. m. w Tuchowie. Taką postać bohaterską, świetlaną, widzieliśmy w osobie Arcybiskupa tułacza, ks. Karola Hryniewieckiego, w chwili jego installacyi na tuchowskie probostwo. Takiej chwili i postaci takiej, milczeniem pomijać nie wolno, bo ta chwila gwiazdą jest na czarnym widnokręgu stuletniej naszej niewoli, bo ta postać — świecznikiem jest wśród zmierzchu zalegającego narodową naszę świątynię. Już z pierwszym brzaskiem dnia niebywałej uroczystości — ozwały sie w Tuchowie radosne, moździerzowe salwy. Różowe blaski wschodzącego słońca odsłoniły zdumionym oczom przybyłych gości widok przecudny i wzruszający zarazem.



Wszystkie ulice i każdy dom, każda najlichsza nawet chatka przystrojona była w dniu tym odświętnie w bogatą a świeżą zieleń jako godło życiodajnej nadziei. Ktoby zajrzał pod nie jedną z ubogich tych a wówczas tak strojnych strzech rzemieślniczych, ze czcią uchyliłby czoła, boby tam zobaczył, że w tym dniu niedzielnym odmówiono sobie mięsnego posiłku, by zaoszczę-

dzonym w ten sposób groszem przyozdobić zczerniały domek na cześć Pasterza — Wygnańca! Tak zacne biją tam serca w tych piersiach zapadłych od pracy! Duszą installacyjnych przygotowań był komitet umyślnie w tym celu zawiązany.

O godzinie 8½ tuchowska straż ogniowa z p. Smorońskim na czele przyjąwszy chorągiew z rąk prezesa p. Foltyńskiego, odbyła wraz ze strażą ogniową tarnowską, defiladę po ulicach miasta przy odgłosie muzyki. Po wysłuchaniu Mszy św., komitet mieszczański i goście udali się na kolej. Sam już ten pochód wyglądał wspaniale. Za olbrzymim zastępem duchowieństwa przybyłego z daleka i z bliska, postępował tłum wiernych co najmniej dziesięciotysięczny, wśród którego widniały szeregi bractw rozlicznych, rożnobarwne feretrony, powiewne sztandary i złociste krzyże. Wdłuż kolejowego toru ustawili się duchowni, obywatelstwo okoliczne ze swym patryarchą Romanem Chrząstowskim, »Sokół« tarnowski i Weterani z roku 1863 z swymi prezesami Ignacym Hilewskim i Witoldem Habichtem na czele. Długi ten szpaler zamknęła banderya konna krakowska. O godz. 9½ przybył pociąg z najdostojniejszym Arcybiskupem Wilna a dziś proboszczem Tuchowa. Połączone muzyki zabrzmiały pieśnią, a jakaż inna nuta ozwać się mogła na cześć niezłomnego Bohatera i Męczennika za Wiarę i Ojczyznę, jak ta, która na widok tej posągowej postaci w każdem sercu polskiem zadrgała nową otuchą: *Jeszcze Polska nie zginęła!* Wyszedł z wagonu Arcybiskup-proboszcz o wysokiej postawie i ujmujących rysach, oku błękitnem i smętnym twarzy wyrazie. Towarzyszyli mu ks.ks. infułat Walczyński i kanonik dr. Bernacki. Imieniem szerszego obywatelstwa witał najczcigodniejszego Wygnańca poseł Józef hr. Męciński, »jako Męczennika za nas wszystkich«, zapewniając, że choć obywatelstwo nie potrafi wyrazić słowami swych uczuć wobec tak niezasłużonego i niespodziewanego zaszczytu to jednak pragnie i obiecuje Pasterza swego otoczyć wszystkiem na co je tylko stać będzie. Ks. Arcybiskup wyraził swą wdzięczność dla Naj. Pana i JE. Namiestnika hr. Badeniego, oraz zapewnił mowcę ze wzruszeniem, że za serca, sercem odpłacać się będzie; poczem przywdziawszy pontyfikalne szaty, zaintonował: »Kto się w opiekę», tysiączne głosy pochwyciły nutę i niezliczone tłumy popłynęły jak fale pod łukiem pierwszej, flagami i herbami strojnej bramy tryumfalnej, noszącej napis: *Ave optime pater!*

U wylotu, wzdłuż udekorowanej, ulicy kolejowej wznosiła się druga. jeszcze wspanialsza brama. Tu stanął pochód, ugrupowały się stowarzyszenia Weteranów, »Sokoła«, »Gwiazdy« tarnowskiej oraz przedstawiciele Sądu, notaryatu, urzędu podatkowego itd. W środku w towarzystwie burmistrza niosącego chleb i sól, stanął dr. Alfred Kalisz i serdecznemi słowy powitał Arcypasterza. Dostojny Prepozyt Tuchowa wyraził w odpowiedzi podziękę za odbierane dzisiaj dowody zaufania, którego z pewnością nie zawiedzie, tak jak nie zawiódł go, stojąc na daleko trudniejszym posterunku wileńskiego arcybiskupa. Czcigodny Pasterz witał władze rządowe dziękując za uczestnictwo, witał »Sokołów« życząc aby przy ćwiczeniu ciała, ćwiczyli też i ducha, witał »Gwiazdę« wskazując aby zawsze nadziemska gwiazda była jej światłem przewodniem w tem życiu, witał weteranów wyznając jako sam brał udział w ich działaniu wraz z swą rodziną i świadkiem był, co robili i co zrobić chcieli... ale nie podobało się Bogu wtenczas pobłogosławić Tu. wzruszyło się serce Arcypasterza pamięcią przeszłości i wydobyło na jaw z lat minionych smutne i rzewne wspomnienia... jako przy objęciu dyecezyi wileńskiej »dzieci prosiły chleba a niebyło ktoby im łamał (Jerem.)«, jak chrzcić było potrzeba tysiące takich co już lat 20-stu dosięgli, bierzmować po 5.000 dziennie, pracować po 14 godzin o głodzie i chłodzie i to w owej strasznej chwili ucisku gdy żony odrywano od mężów a dzieci od matek by zmusić do przyjęcia schizmy. Ze wzruszeniem i łzą w oku słuchali wszyscy obecni tych wspomnień z męczeńskiej łez krainy, ustami Męczennika głoszonych. Jeszcze poważniej i uroczyściej ruszył pochód w dalszą drogę. W tej to chwili zdjął jego fotografię p. Majewski. I znów zatrzymać się przyszło w obec nowej wspaniałej bramy wzniesionej przez gminę izraelicką.

Na bramie widniał napis: „*Izraelici Tuchowa witają ze czcią dostojnika Kościoła, męczennika za wiarę i naród*". Żydzi w świątecznych szatach bardzo licznie zebrani z Torą na przodzie powitali X. Arcybiskupa, zapewniając go o przeszłej i obecnej harmonii żydów z katolikami, upraszając, by takowa pod nowym zarządem parafii, dalej też trwała. X. Arcybiskup w gorących pełnych namaszczenia słowach wskazawszy różnicę starego i Nowego Zakonu, oczekiwania i przyjścia Mesyasza, wyraził również życzenie najszczerszej zgody, pod warunkiem odrzucenia talmudu »co chrześcian zowie gojami i deptać ich każe« oraz pod warunkiem wzięcia rozbratu z lichwą. »co lud nasz do ruiny prowadzi.« Cześć Pasterzowi, co tak śmiało i dzielnie broni swej owczarni!

Lecz oto nowa wznosi się brama. staraniem szkół tuchowskich wystawiona i przemawia pięknie ułożonym napisem: »Modlitwą i pracą wita Cię Najprzewielebniejszy X. Arcybiskupie młodzież Tuchowska!« Imieniem grona nauczycielskiego przemawiał dyrektor p. Lipecki a także imieniem młodzieży szkolnej uczeń Rudnicki. Wreszcie stanęła procesya u zamkniętych drzwi kościoła, które

po odmówieniu modlitw installacyjnych otworzył protonotarjusz apostolski i infułat X. St. Walczyński jako delegat biskupi, a po wejściu przemówił do siedzącego na tronie Arcybiskupa — proboszcza, na tekst »Ten jest dzień który uczynił Pan«. Treścią mowy były gorące pobudki do najszczerszej wdzięczności ku Bogu za ten dzień wspaniały, Najsilniej przemawiał Najprzewielebniejszy mowca do Tuchowian, wskazując to osobliwsze dobrodziejstwo Boże, że po infułacie X. Rybarskim, tej nieoszacowanej perle duchowieństwa, który lat 20 pracując, tyle dla nich zdziałał i z pracy umarł, otrzymują proboszcza w osobie tego, którego zdobią nie tylko pastorał i mitra, ale lata całe apostolskiego męczeństwa i ciężkiego tułactwa, dobrowolnie podjętego za Wiarę i Ojczyznę.

Święte to słowa, bo o ile wdzięczność jest piękną, o tyle wstrętną niewdzięczność, która częstokroć rodzi się tam, kędyby nigdy postać nie powinna! Któż mógłby przypuścić, że oszustwo ludzkie potrafi jad swój miotać na postać tak nieskażoną, a tak dobroczynną jak śp. X. Rybarskiego. A przecież wśród własnych jego parafian znaleźli się tacy co dziś jeszcze dobroczyńcę swego w grobie nawet ruszać potrafią — znać, by mu większej jeszcze chwały przyczynić w niebie! Oby więc i nowy Prepozyt nie znalazł wilków wpośród swych owieczek i zamiast miłości i pokoju, nową nie był dotknięty goryczą na swej i tak już gorzkiej tułaczce! Po skończonej mowie X. Walczyńskiego, przemówił X. Arcybiskup dziękując najprzód wszystkim, co do objęcia tej prepozytury się przyczynili a następnie wygłosił półtora godzinne kazanie o miłości Boga i bliźniego. Zakończyła się uroczystość kościelna sumą, poczem odprowadzono X. Arcybiskupa na plebaniją, gdzie na wstępie powitała go 4-letnia córeczka p. Bernackiego, dalej hr, Szczepańska z Ryglic, wręczając imieniem pań bukiet wspaniały.

Około 3-ciej rozpoczął się installacyjny obiad. Do stołu zasiedli przedstawiciele wszystkich władz, korporacyi i stanów, od reprezentantów rządu i szlachty aż do rzemieślników i wójtów wsi okolicznych. Toastów wznoszono takie mnóstwo, że wyliczać wszystkie byłoby i niemożliwem i zbytecznem. Wspominamy więc tylko jak X. Arcybiskup, wdzięczny za otrzymane obywatelstwo i przytułek, pił na cześć Ojca św. i Naj. Pana, a obecni odpowiedzieli trzykrotnem *vivant*! Że zaś zdziałały to starania JE. Namiestnika hr. Badeniego i Najprzew. X. biskupa tarnowskiego, więc powstał powtórnie X. Arcybiskup i wychylił ich zdrowie. Infułat ks. Walczyński odezwał się wówczas do nowego tuchowskiego Prepozyta: »Gdy Cię Najprzewielebniejszy Arcypasterzu, niegdyś wywieziono na wygnanie, rzewnie płakaliśmy wszyscy i prosili Boga by skrócił dni Twego męczeństwa. Dziś otrzymujemy nie tylko to, o cośmy prosili, ale i to o cośmy nie prosili, ani o czem marzyć nawet nie śmieliśmy, że Cię mieć będziem wśród siebie i dla siebie«. Wyrazy najwyższej radości towarzyszyły toastowi wzniesionemu na cześć Arcybiskupa-tułacza. Czcigodny Pasterz powstał raz jeszcze i wspominając o swem po kądzieli pokrewieństwie z Kościuszką i Mickiewiczem zaznaczył tem ściślejszy węzeł braterstwa swego ze wszystkiemi stanami Polskiego Narodu, na których cześć i zdrowie podnosi toast. Przemawiał następnie kanonik ks. Bernacki o patryotyzmie duchowieństwa polskiego, przemawiał imieniem Weteranów i Sokołów prezes Hilewski, a w mowie jego drgała i boleść krzywd od wroga doznanych, płonął żar najgorętszej miłości ojczyzny, i groźnie przeglądały ostre sokolskie szpony. Zakończył pięknym toastem poseł hr. Męciński wskazując przeszłość i posłannictwo Polski i jej rozdarcie i męczeństwo i przyszłość w miłosnej spójni społecznych warstw pod egidą duchowieństwa, pod hasłem »kochajmy się«. Muzyka towarzyszyła toastom, a wieczorem wszystkie okna najuboższych nawet domków zajaśniały światłami, dowodząc, że za każdem okienkiem biją szczere, polskie, katolickie serca. Taka illuminacya to jutrzenka lepszej przyszłości!

Cześć Pasterzowi który taką miłość budzi w sercach swych owieczek, cześć Bohaterowi, któremu carskie ordery nie zdołały wystudzić w sercu świętej miłości kochanej ojczyzny. Cześć Męczennikowi co przetrwał karę wygnańca, cześć Tułaczowi co łzami zasiewał drogę swego żywota, a dziś z młodzieńczym zapałem, znowu twardego pługa się ima. Prawdziwie *boleść* i *miłość* wykuły tą postać wspaniałą i złożyły w jej sercu te najpotężniejsze zarodki które »wykłują niebu chorowód skrzydlaty«! β.

GNIAZDO SZERSZENI.

II.

W numerze 8-ym naszego pisma poruszyliśmy kwestyę tutejszej Izby handlowej, z podaniem niektórych szczegółów dotyczących p. Hirsza Landaua, wyborów itp. Słowa nasze skończyliśmy projektem reformy, sądząc, że bieg dalszych wypadków, oszczędzi nam przykrości zapuszczania się w drobiazgi i, że p. Hirsz Landau świadomy swych czynów i swej wartości, nie będzie szukać pozornej jakowejś rehabilitacyi, która, w rezultacie — zmusi nas do analizy faktów, poruszonych, jak dotychczas, przez... rękawiczki.

Stało się jednak inaczej.

W NNr. 217 *Czasu i Reformy* z d. 23 p. m. umieściła Izba handlowa w rybryce »Nadesłane«, komunikat który, ma pono stwierdzić, że p. Hirsz Landau, jako członek Izby handlowej, jest nieskalanym jej filarem.

Odezwa ta skierowaną jest do bezimiennego pamfletu, na jakie — zwyczajnie — ludzie poważni a tem więcej poważne instytucye, nie odpowiadają. — To też gdyby nie ta zadziwiająca okoliczność, że *Izba handlowa pamfletu milczeniem nie pominęła i że jeden* zarzut opatrzony liczbą registratury sądowej, poruszony został i przez nasze pismo — przeszlibyśmy nad owym komunikatem do porządku dziennego, zająwszy w obec p. Landaua stanowisko wyczekujące.

Dziś. wyzwani niejako wystąpieniem Izby handlowej, oraz z gruntu niezgodnym z prawdą oświadczeniem p. Dra Horowitza — zagrać musimy w otwarte karty, aby nam świat nie zarzucił, że i my w *podpisane* bawimy się pamflety!

Jaką jest instytucya, którą podpiera ten *spruchniały* filar, o tem mówiliśmy już — i pomówimy jeszcze w jednym z następnych numerów *Pracy*. Na teraz chodzi nam o p. Hirsza, który ma się za karyatydę, niosącą na swych barkach ciężkie brzemię obowiązków, jakie społeczeństwo nań włożyło. — Jak on spełnia te obowiązki? Jaką drogą wywalczył sobie stanowisko tak wpływowe — że ludzie zasług i znaczenia, uchylają przed nim głowę?

Przed laty około trzydziestu pan Hirsz Landau był sobie — ot, zwyczajnym, ubogim żydkiem. Ożenił się, wziął od niezamożnego teścia *jeden tysiąc* złr. posagu i postanowił bądz co bądź, zrobić fortunę. Pracą realną, trudno zdobyć szybko pieniądze, tem trudniej próżniakowi, to też p. Landau postanowił nie pracą — ale sprytem, przez świat się przebijać.

Wybory — (owa ze snu rozbudzona dojna krowa) przedstawiały najłatwiejszy sposób do przeprowadzenia powziętego planu. Puścił się na drogę *agitatorską*. Ale że febris aurea, na widok złota — zwiększa się u wielu ludzi, to też z czasem i p. Landauowi niewystarczał »skromny« ekwiwalent za trudy agitacyjne, (tem bardziej, że jeden z najpoważniejszych kandydatów jego, resp. jemu powierzonych, przy wyborach koziołka przewrócił) — i wziął się do wykładania ludzkości »reguły procentowej", następnie stworzył sobie własną w tym kierunkn formułę i wedle niej postępował i postępuje do dnia dzisiejszego.

Formuła ta wprawdzie zupełnie odmiennie oblicza odsetki, aniżeli na to kodeks karny pozwala, — łatwiej jednak przecież paragraf do »góry nogami odwrócić«, aniżeli pozbyć się raz przyswojonej teoryi. Zresztą p. Landau i w tym kierunku bywał ostrożnym, gdzie mógł zasłaniał się kim innym.

Przy ulicy Grodzkiej mieszkał kuśnierz, — *Szild* pono się nazywał. Jakie interesy łączyły tego rzemieślnika z dzisiejszym, krakowskim Vanderbildtem — to rzecz mniejszego znaczenia, tem bardziej, że wszystkie sprawy lichwiarskie, do siebie są podobne. Był to jednak rękodzielnik nie zamożny i do tego krewny p. Landaua. Gdyby stosunek tych dwóch panów był czysty i jasny — i gdyby, jak to „przyjaciele polityczni« p. Landaua twierdzą, ten ostatni »wspierał biednego kuzyna« — to pocóż było podszywać się pod obce nazwisko.

Pan Landau używał w rzeczonym stosunku pełnomocnictwa niejakiego p. Becka pracującego wówczas w firmie Vogelstrauch i Wasserberg, — i to bez jego wiedzy i zezwolenia, a kiedy w końcu chodziło o odbiór dłużnej przez Szilda kwoty — p. Beck przyparty do muru przez Dra Proppera, adwokata Landaua — dał temu ostatniemu odnośną, notaryalną cessyę.

I dziś jeszcze, jest w toku pewna sprawa p. Becka contra jednemu z poważniejszych naszych artystów malarzy, gdzie p. Beck jest ową słomianą lalką. na której sprytny »finansista«, drapuje umiejętnie swoją szatę niewinności.

Fakty powyższe, podajemy w nawiasie — bo nie oto nam głównie chodziło. Gdybyśmy bowiem cały szereg faktów, obciążających p. Landaua, chcieli szerszemu podać ogółowi, gdybyśmy tak — i w nafcie palec umaczali, i w mące której p. Landau był »liwerantem« pogrzebali, gdybyśmy tak zajrzeli do piwnic szpitalu żydowskiego, do mieszkania pewnej pani, której »anioł zwiastował rozkaz Boży, aby cały swój majątek *komuś* zapisała« i gdybyśmy chcieli tego anioła... *wiernie* odmalować, to doprawdy papieru i czasu by nam zabrakło. To też wracamy do oświadczeń Izby handlowej i Dr. Horowitza. — Nie powtarzamy ich, albowiem każdy je pewnie czytał, a chcąc przedmiotowo rzecz traktować, podajemy sam fakt — bez żadnych komentarzy:

Do Krakowa przybyła ongi z zagranicy, młoda, uboga, obdarta, żydówka i zgłosiła się do swej bardzo dalekiej, starej krewnej z prośbą o zapomogę. Stara, chciwa na pieniądze, odmówiła pomocy, oznajmiła jednak przybyłej, że jeśli chce u niej w służbie pozostać, to jej za usługę, da mieszkanie i pożywienie.

Dziewczyna przyjęła propozycją. Wkrótce potem, stara ciotka, nie wiadomo z jakiej przyczyny, nagle w nocy umarła, a w kilka dni potem zjawia się na mieście młoda pupilka z książeczką wkładkową Kasy Oszczędności na 36.000 złr. oraz zaległe za lat kilka procenty i twierdzi, że dostała ją od ciotki, a ponieważ jest biedną, pragnie książe-

czkę sprzedać. Rzecz jasna, że amatora na tę »ciemną« dosyć operację finansową, nie mogła łatwo znaleść. Nareszcie znalazł się p. Hirsz Landau, który wspólnie z p. Dr. Blateisem nabył tą książeczkę za sumę... 6000 złr. Dziewczynę w świat wyprawili — i sądzili że sprawa już wygrana. Tymczasem stała się rzecz... o której się nie śniło p. Landauowi. Oto, czy przez samą dziewczynę, czy też przez kogo innego, uwiadomiony brat jej Mojżesz Żytny, zamieszkały w Rosyi, zjeżdża do Krakowa, udaje się po radę do niejakiego M. Rittermana, a ten ostatni prowadzi go do kancelaryi Dr. Horowitza

Pan adwokat Dr. Horowitz wniósł odnośną skargę, następnie wniósł drugą, sprawa do dzisiaj *faktycznie* nie jest załatwioną, — ale Nr. aktu sąd: 9011/87 — nie może być z rejestru wymazanym.

Czy skargę podpisywał imiennie pan Horowitz, czy kto inny — to istoty rzeczy nie zmienia, dość że *faktem jest* iż te skargi wyszły z *kancelaryi adwokackiej Dr. Horowitza* i z jego osobistego polecenia. Oświadczeniem więc swoim uchybia *sobie tylko* pan adwokat.

Tyle co do oświadczenia Dra Horowitza, Izbę zaś handlową prosimy o przejrzenie art. VI ust. państ. (z dn. 17/12 1862 L. V do p. p. ex-1863) a następnie o... pofatygowanie się do sądu karnego i sprawdzenie treści akt pod L. 7849 z roku 1886/87. Wiemy że światu, nie na wiele się to przyda, boć i na stole izby handlowej pisze się po dyktandzie wszechpotężnego p. Landaua, — my jednak zyskujemy komunikatem powyższym to przeświadczenie, że świat się dowie, za jaką lichą cenę sprzedaje się na naszej giełdzie honorów i zaszczytów — godność ludzka, i poczucie jakiej takiej sprawiedliwości. *L.*

Chrześcianin w Talmudzie.

III

Tajemnica krwi.

Czy w talmudzie istnieje wyraźny i dla wszystkich zrozumiały przepis rytualnego używania krwi chrześcijańskiej, na pewno orzec lub przynajmniej niezbicie dowieść się nieda. Różne są bowiem kodeksy talmudyczne, z których znane są najważniejsze dwa: Kodeks jerozolimski i babiloński. Twórcą pierwszego, przynajmniej co do Gemary i Miszny był rabbi Jochanan około r. 230 po Chr., nad układem drugiego pracowali rabini: Aszi r. 329 po Chr., Maremar r. 427 i Abina r. 500. Obydwa zaś te kodeksy różnią się od siebie objętością i treścią. Nadto jak dowodzą bezstronni tłómacze talmudu, miejsca jaskrawsze znajdujące się w kodeksach, rozpowszechnionych na Wschodzie naumyślnie opuszczane bywają w kodeksach, używanych na Zachodzie, a to ze względu na czujniejsze oko władzy politycznej.[1])

Nie potrzeba zresztą szukać w talmudzie wyraźnych szczegółowych przepisów rytualnego morderstwa, wystarczą bowiem przytaczane przez nas ustępy, w których krwawą ofiarę z Chrześcijan poleca jako rzecz miłą Bogu i zasługującą na żywot wieczny.[2])
Morderstwa więc rytualne są w każdym razie najzupełniej zgodne z duchem talmudu, o ile zaś rzeczywistem jest ich praktykowanie tego dowodzą sądowe zeznania oskar-

1) *Civiltà Cattolica* 24 lutego 1893 art. „*La morale* giudaica etc.“
2) *Praca* Nr. 8.

3)

BEZ BOGA

Szkic z natury

przez Józefa Trepkę.

(Ciąg dalszy).

* * *

Wśród uroczej okolicy południowego krańca Kongresówki toczy się elegancki wózek zaprzęgnięty parą dzielnych siwoszów. Na wózku siedzi Jan i rozmyśla nad sobą, ochłonąwszy z rozmaitych wrażeń i wzruszeń dnia całego. Chwila, w której musi powziąć stanowcze postanowienie co do własnej przyszłości, zbliżyła się nieodwołalnie; z ojcem także musi ostatecznie rozmówić się — już nie jako dzieciak, lecz jako młodzieniec, mający wkroczyć drogami, które sam wybierze, w szranki samodzielnego życia. Jan przepowiada sobie jak lekcyę, argumenty, którymi będzie zwalczać ojcowskie rozumowania, rady, lub nawet wyraźną wolę, czuje jednak, że przeprawa nie będzie łatwą, że ojciec, szczególniej co do jego zamiarów względem Julci, zajmie stanowisko wprost uniemożebniające ich ziszczenie. Mimo całej siły młodzieńczego uczucia, rozumie dobrze śmieszność, na jakąby się naraził, odkrywając przed ojcem stan swego serca — widzi go, jak machnąwszy ręką mówi zwolna „dzieciństwo!“ i wtedy droga do dalszych zwierzeń w tym przedmiocie zostaje nadługo zamkniętą. Mimowolnie przychodzi mu na myśl matka, którą tak dawno utracił... gdyby ona dziś żyła, zwierzyłby się śmielej przed nią niż przed ojcem — może prędzej dałaby by się przekonać...

Dalsze rozmyślania przerwał mu wysuwający się z poza wzgórz widok rodzinnego domu, który utopiony w masach zieleni, błyszczał białemi ścianami na lekkiem wzniesieniu wśród wioski rozrzuconej malowniczo na brzegach wąwozu, wijącego się równolegle do strumyka, który płynął jego środkiem. Dotykające widnokręgu słońce rzucało złoto i purpurę na cały krajobraz. Gwar powracających od pracy ludzi, daleki odgłos dzwonu z wiejskiego kościoła, zapach świeżo skoszonego siana przeciągły ryk bydła, wesołe rżenie koni, — wszystko to tak podziałało na Jana, że odrazu zapomniał o wszystkich myślach, które przed chwilą niewymownie tłoczyły mu serce i umysł i odetchnął pełną piersią z uczuciem ulgi i spokoju. Nie zdawał on sobie sprawy z tej nagłej zmiany, czuł przecież instynktownie, że nieprzeparta, wrodzona siła ciągnie go do tej roli, która tylu jego przodków wykarmiła, czuł, że ten skrawek ziemi do niego należy i to uczucie, wbrew teoryom, jakie wyrobił sobie o własności, sprawiło, iż ciesząc się, oniemiał jak dziecko, zajeżdżał przed ganek rodzinnego domostwa, gdzie ojciec, równie jak on ucieszony, oczekiwał go z otwartemi do uścisku rękami.

żonych żydów, dzieła wydane przez nawróconych rabinów i mnóstwo innych najwiarogodniejszych źródeł historycznych, na które się tu powołamy.

Z pomiędzy setek procesów, dwa, na szczególniejszą zasługują uwagę ze względu na liczbę świadków, jak i na ważność zeznań nie pozostawiających żadnych wątpliwości. Pierwszym z nich jest proces trydencki, którego autentyczne kopie znajdują się: jedna we Wiedniu, druga w tajnych archiwach Watykanu. Drugi słynny proces toczył się w Damaszku r. 1830. Akta dla każdego dostępne, przechowuje „Narodowa Biblioteka" w Paryżu. Wydrukował je też sławny orientalista Achilles Laurent w dziele swojem: *Relation historique des affaires de Syrie depuis 1840 jusqu'au 1842*. Dzieło to gorączkowo wykupywane przez Żydów, stało się dziś bibliograficzną rzadkością. W procesie trydenckim występuje ośmiu, w damasceńskim zaś 16 oskarżonych, którym zbrodnię udowodniono i którzy sami do niej się przyznali. Zeznania z tych dwóch procesów, jakkolwiek czterema rozdzielonych wiekami, najściślej aż do drobnostkowych szczegółów zgadzają się z sobą, odnośnie do rytualnego używania krwi chrześciańskiej. Z zeznań tych najwidoczniej się pokazuje, że celem rytualnego morderstwa jest nie tylko wyrządzenie obelgi Chrystusowi a szkody chrześciaństwu, lecz także spełnienie religijnej powinności, tj.: godny obchód świąt Purim i Paschy. W święto Purim wystarczy użyć krwi jakiegokolwiek chrześcianina, w święto Paschy zaś należy się posługiwać krwią dziecięcia najwyżej siedmioletniego, które zastąpić ma ofiarę baranka. Bezpośrednie zastosowanie krwawego obrzędu, przywilejem jest i tajemnica ojca rodziny, który bez wiedzy żony i dzieci domieszać ma do przaśnego ciasta i do wina nieco krwi chrześciańskiej płynnej lub sproszkowanej. Im w bliższych dniach Paschy oraz im wśród większych męczarni spełniona jest ofiara dziecięcia, tem milszą jest ona Bogu, jak to zeznał w procesie trydenckim 80-cioletni rabin Mojżesz. Krew ta służy też do obrzezania i do innych obrzędów. Roznoszą ją wędrowni żydzi, opatrzeni certyfikatem miejscowego rabina i sprzedają synagogom w drobnych ilościach a po cenie wysokiej. Zwyczaj ten zapisany w talmudystycznych księgach orientalnych, a na zachodzie utrzymywany i przekazywany ustną tradycyą, datuje się od pierwszych wieków ery chrześciańskiej.

Zupełnie podobne sprawozdanie o rytualnem używaniu krwi chrześcijańskiej znajdujemy też w Aktach Bollandystów pod dniem 24 marca. Zeznania zaś nawróconych rabinów dodają tu słonecznego światła niezaprzeczonej prawdy. Niejeden z nich, jak np. brat Sykstus ze Sienny, dominikanin, lub Dracle albo Goschler z rabina zostawszy gorliwym katolickim kapłanem, poświęcił się odtąd z zapałem nawracaniu swych ziomków i dla tego nie chcąc ich zrażać do siebie, tylko ogólnie wspominał o fanatycznych tradycyach żydowskich, zalecających prześladowanie i zagładę chrześcijan. Mamy jednak najpoważniejsze świadectwa ochrzczonych rabinów, którzy jak np. Paweł Medici, Jan da Feltre i Teofit mnich mołdawski, szczegółowe, wyraźne i pisemne zostawili zeznania. Paweł Medici potwierdza częste rytualne morderstwa chrześcijańskich dzieci [1]. Jan da Feltre uroczyście i wobec władzy przyznaje zbrodnicze fakta i opisuje sposób używania przez żydów krwi chrześcijańskiej,[2]) a Teofit w swoich zeznaniach drukowanych w r. 1803 po mołdawsku, w r. 1834 po grecku a w r. 1883 po włosku[3]), tłumaczy tę krwawą tajemnicę i wyznaje, *że sam przed swem nawróceniem używał krwi chrześcijan do rytualnych czynności*. Tenże sam ex-rabin Teofit tłumaczy też sposób w jaki krwawa ta tradycya przekazywaną bywa z pokolenia na pokolenie. Tajemnica ta nie jest znaną wszystkim żydom, własnością jest ona wyłączną samych tylko „konserwatywnych" skrybów i faryzeuszów tak zwanych „kakam" tj. nauczycieli. Ci, powierzają ją

[1]) *Riti e costumi degli Ebrei* p. 323,6a Ed. Torino.

[2]) *Civiltà Cattolica* Ser. II. vol. VIII p. 230 sg.

[3]) *Il Sangue cristiano nei riti ebraici della moderna Synagoga*, trad. prof. N. F. S. Prato 1834.

— Ojcze!...

— Jasiu!...

Były to jedyne słowa, na które zdobyli się na razie obydwaj. Niezamącone niczem uczucie łączyło ich: ojciec i syn w tej chwili byli obrazem przez Opatrzność stworzonego porządku rzeczy, który rodziców i dzieci pomimo różnic wieku, płci, zapatrywań, lub wykształcenia powinien w jedną harmonijną całość zespajać.

Czemuż zawsze nie mogli tak kochać się i rozumieć?..

Po przywitaniu, o którem mówi wieszcz:

> Zaczęła się tu prędka, zmieszana rozmowa,
> W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
> Krótkie i poplątane.....

Jaś, obcałowany przez służbę, a w szczególności przez swą niegdyś piastunkę Maciejową, udał się na spoczynek i zasnął snem zdrowym, bez marzeń, snem spokojnym dziecka, spoczywającego po dłuższej nieobecności znowu pod strzechą ojcowską.

Następnych kilka dni zbiegło mu nadzwyczaj prędko i przyjemnie. Wszelkich rozrywek, jakich wieś dostarczyć może, używał z zapałem: jeździł konno, polował na krzyki, kąpał się, jadł za czterech i kilku bliższym sąsiadom poodawał z ojcem wizyty. Bawiło go to niezmiernie, iż obecnie tytułowano go „panem Janem", a nawet spostrzegł, że matki, posiadające jednę lub więcej córek, poczynały go brać w rachubę, jako przyszłego i jedynego dziedzica dobrze zagospodarowanej i nieobdłużonej Woli Kaszowskiej wraz z przyległościami. Z tem wszystkiem jego, choć gorące, lecz w gruncie rzeczy refleksyjne usposobienie, nie pozwoliło mu zapomnieć o tem, że musi stanowczo rozmówić się z ojcem co do pokierowania swoją przyszłością. Stary Wolewicz pragnął z całej duszy, jak to już wspomnieliśmy, widzieć syna swym następcą w ciężkiej walce, na którą w Kongresówce musi być narażony każdy, co, chcąc utrzymać ziemię w polskiem ręku, wytrwale stoi na stanowisku polaka, katolika i obywatela tej nieszczęśliwej krainy. Chciał, by syn ukończył szkoły średnie na miejscu, już choćby dla znajomości urzędowego języka — lecz chciał także, aby odebrał za granicą gruntowne wykształcenie jako rolnik. To nie było wcale po myśli syna.

Nieraz wśród najpogodniejszego dnia zjawia się na horyzoncie mała chmurka, z której powstaje gwałtowna burza. W stosunkach między ludźmi dzieje się nieraz coś podobnego.

Pewnego dnia, siedząc przy obiedzie, ojciec niechcący zeszedł od zupełnie obojętnego przedmiotu do drażliwej kwestyi ostatecznego postanowienia o przyszłości Jana.

— Sądzę, mój chłopcze — mówił — że już zdecydowałeś się na wybór miejsca twoich studyów — nie narzucam ci mego zdania, lecz myślę, że Dublany byłyby najodpowiedniejsze, boć pracowałbyś tam między swoimi i nie byłbyś tak daleko od domu, jak tam

ojcom rodziny, ojcowie zaś pierworodnym swym synom.[4]) Krwi chrześcijańskiej według zeznań tegoż Teofita używają też żydzi przy chorych i umierających, przy obrzędach małżeństw i w dniu pokutnym, obchodzonym na pamiątkę zburzenia Jezozolimy (9 lipca).

Świadectwa przytoczonych eks-rabinów tambardziej są niepodejrzane i tem wiarogodniejsze, że zostawszy zakonnikami, nie mogli się powodować chęcią jakiegoś zysku czy korzyści, owszem raczej obawa zemsty odstraszyć ich była powinna, tem więcej, że w zeznaniach swoich sami też oskarżają siebie i jawnie przyznają się do winy.

Zresztą iluż to mężów uczonych, badaczy najściślejszych pisało dzieła całe o strasznym tym obrzędzie na talmudycznej tradycyi opartym i praktykowanym. Dość wspomnieć imiona takie, jak Bollandyści, Baroniusz, Rohrbacher, Daumer[1]), Eisenmerger, Medici, Desclée de Brouwer[2]), Toussenel[3]), Damian Cornejo[4]), Ghillany[5]), Rajmund Martin, Chaucer[6]), Achilles Laurent[7]), Drumont[8]) etc. etc. Słowem przez usta tych pisarzy mówią wszystkie narody i wieki wszystkie, głosząc wszystkimi językami zbrodnie potwornych zabobonów wykonywanych na niewinnej krwi chrześcijańskiej od wybrzeży Egiptu aż do Smyrny i Konstantynopola, od Korfu i Rhodes aż po Cissę i Ren, po Elbę i Wołgę! *Civiltà Cattolica* przytacza między r. 1071—1882, 60 wypadków rytualnego morderstwa stwierdzonych najwiarogodniejszymi świadectwami lub dowiedzionych sądownie.

Jaskrawy to objaw, ale jeden tylko z tysiąca innych objawów jakiejś dziedzicznej, niewytłumaczonej nienawiści żydów do wszystkiego co chrześcijańskie. Już św. Justyn M., Euzebiusz, Orosius i Tertulian, uskarżali się na nią przed dwunastu wiekami, gdy krew chrześcian płynęła wśród amfiteatrów Rzymu. Już za czasów Hadryana, żyd Bar-Kochab wsławił się najokrutniejszem męczeniem chrześcijańskich ofiar. Już podczas wojen krzyżowych łączyli się żydzi z Maurami i Turkami przeciw chrześcijanom. A i dzisiaj gdybyśmy zajrzeli do lóż wolnomularskich, do serc liberalno-żydowskich redaktorów, do tajników giełd starego i nowego świata, do parlamentów i tek ministerskich, do głównych motorów wszelkiej anarchii, znaleźlibyśmy na dnie tych wszystkich odmętów wypisane słowo Tertuliana: *Synagogae Judaeorum fontes persecutionum* (Synagogi żydowskie to źródła prześladowań). Przez ciąg 18-tu wieków okrzyk „ukrzyżuj go“ brzmi wszędzie liberalnem czy fanatycznem echem, a my chrześcianie stojąc z Ewangelią w ręku, choćbyśmy nawet mogli dzisiaj wobec żydów, niebacząc na własną zgubę, spełnić Chrystusowe słowa literalnie i gdy nas biją w lewy policzek nadstawić jeszcze prawego, gdy biorą nam płaszcz, oddać i kaftan, to i wtedy nawet takim heroizmem miłości jaki zabłysnął na krzyżu, niepowstrzymalibyśmy tego olbrzyma pchniętego w świat ręką karzącej sprawiedliwości, olbrzyma zasklepionego w sobie niedostępną odrębnością, a ziejącego nienawiścią do chrześcijaństwa, olbrzyma z Kainowem piętnem na czole i z nieprzebrzmiałem imieniem: *żyd - wieczny - tułacz.*

[4]) *Tamże* roz. 2 str. 19, 34 36, i roz. 3. str. 20.
[1]) Le culte de Moloch chez les Hebreux de l'antiquité.
[2]) *La question juive* 1892.
[3]) Leo juifs rois de l'epoque.
[4]) Cronica Serafica Madryt 1721.
[5]) Les sacrifices humaines chez les Hébreux de l'antiquité.
[6]) Les Contes de Cantorbery.
[7]) Les affaires de la Syrie.
[8]) La France juive.

Jak u nas wydają dzienniki.

W jednym z ostatnich numerów *Kuryera Polskiego* znajduje się następująca krótka, lecz wymowna odpowiedź od redakcyi:

„Żądanego adresu p. Dra Józefa Orłowskiego udzie-

---

gdzieś za granicą, pomiędzy szwabami. No, jak myślisz?...

Milczenie ze strony Jana, który spostrzegł, że dawno spodziewana chwila nadeszła, było jedyną na razie odpowiedzią. Pomyślawszy jeszcze chwilę, rzekł głosem nieco drżącym, lecz w którym czuć było upór, czy stanowczość:

— Proszę ojca, ja zdecydowałem się pójść na wydział prawny w Warszawie i dlatego...

— Jakto, chyba żartujesz? — przerwał ojciec nietyle rozgniewany, co zdziwiony. — Zdaje mi się przecież, że chyba wiesz o tem, iż chcę mieć z ciebie za lat kilka pomocnika w gospodarstwie, a i sam, odziedziczywszy po mojej śmierci Wolę, będziesz musiał rozumieć się dokładnie na gospodarstwie, bo czasy dyletantyzmu w rolnictwie dawno minęły.

— Rozumiem to wszystko, jednakże postanowiłem, nie oglądając się na to, co po najdłuższem życiu ojca odziedziczę, własną pracą zdobyć sobie stanowisko i to takie, abym mógł być użyteczniejszym dla społeczeństwa, niż pierwszy lepszy szlachetka, zakopany na wsi, z której wcześniej lub później wylecieć musi!

Ostatnie zdanie, wygłoszone przez Jana z dobitną ironią, dotknęło starego Wolewicza. Zmarszczył brwi i z hamowanym gniewem odparł:

— Bardzo mi przykro, że podobne brednie z ust twoich słyszeć muszę. Byłem przygotowany na to, że z moskiewskich szkół nie wyniesiesz wiele rozumu, spodziewałem się jednak, że, jako mój syn, mający w domu ojcowskim przykład, jak dla naszego społeczeństwa pracować należy, wyrobiłeś już sobie pod tym względem jasne pojęcia. Musimy z całych sił trzymać się ziemi — nie utrzymamy jej jednak, jeśli nie będziemy umieli tak gospodarować, aby módz stawić czoło ciężkim czasom i nieznośnym warunkom, w których żyjemy. Dlatego chcę, abyś jako wykształcony i postępowy rolnik stanął do pracy, która jest świętym obowiązkiem każdego szlachcica — polaka!

Jan ochłonął z pierwszego uczucia nieśmiałości. Słowa „szlachcica-polaka“ pobudziły w nim cały zapas żółci, nabytej rozczytywaniem się w pismach ludzi, dla których po za obrębem zwykłej kosmopolitycznej maszyny, zwanej „człowiekiem“, nie istnieje nic innego na świecie. Obudził się w nim zapał młodego doktrynera, który z fanatyzmem i wiarą walczy przeciw wierzeniom innych, sądząc, iż sam jest wolny od wszelkich uprzedzeń.

— Ja mam inne przekonania w tym przedmiocie — mówił śmiało.

— Chcę je słyszeć — odrzekł sucho ojciec.

(C. d. n.)

lić nie jesteśmy w możności, albowiem właśnie wczoraj wyjechał on z Krakowa".

Wyobrażamy sobie jaką radość odpowiedź ta sprawiła pomiędzy osobami spokrewnionemi finansowo z Drem Orłowskim i wydawnictwem *Kuryera Polskiego*. Co do nas, nie taimy, że fakt ten, dawno oczekiwany, z zadowolnieniem przyjęliśmy do wiadomości. Sądzimy, że wraz z nami ucieszyli się wszyscy, którym honor naszego dziennikarstwa nie jest rzeczą obojętną, *Kuryer* bowiem pana Orłowskiego, a raczej sposób jego wydawania, zajmie jedną z najczarniejszych kart historyi naszej publicystyki.

P. Orłowski przybył do Krakowa ze stolicy nad Pełtwią się wznoszącej. Co tam robił, jak tam robił, dlaczego opuścił swe *lary i penaty*, rozmaicie mówią i tłomaczą; zresztą, tę część jego biografii niech pióro którego ze Lwowian opowie. Dość, że do nas przyjechał i nadzwyczaj łatwo zawiązywał stosunki, przedstawiając się wszędzie jako doktor praw, pracujący u jednego z adwokatów miejscowych. Ciężko mu było jednak jakoś żyć i istnieć, a więc pomyślał o założeniu dziennika politycznego. Wprawdzie nie miał żadnej rutyny, zdolności jego literackie były mikroskopijne, z polityki wiedział coś niecoś o Bismarku, na sprawach krajowych znał się niewiele, o dziennikarstwie w ogóle miał takie wyobrażenie, jak Kameruńczyk o impresyonizmie. Ale co to szkodzi, kiedy tytuł *pana redaktora* da mu wstęp do różnych ludzi i instytucyj bankowych. Wprawdzie, chcąc założyć dziennik, trzeba mieć pieniądze, a pan *doktor* pieniędzy nie miał (pod tym względem był literatem), ale od czegoż nasi ludzie publiczni, którzy za kadzidło umieją być wdzięczni, od czegoż walka naszych stronnictw, przy której zawsze pieczeń upiec można?

P. Orłowski, dobrze przewąchawszy nasze stosunki, zrozumiał, że pozorny katolicyzm i konserwatyzm mogą mu otworzyć wrota do obory stańczykowskiej. Zaczął więc wierzgać na liberałów i reformistów, za co stańczycy w pierwszej chwili nie szczędzili mu obroku. To mało, bo dawali mu osobiste poparcie. Rzecz dziwna, że wybitni ludzie z tego obozu, nie mając wyobrażenia, kto jest p. O., ani jakie są jego zdolności, jaka przeszłość, jakie zamiary — w parę miesięcy już po założeniu *Kuryera Polskiego* uczęszczali do jego redakcyi i wnosili toasty na sutych kolacyach, sprawianych za ich pieniądze.

Kiedy ludzie cichej zasługi, talentu i pracy długo muszą czekać, zanim spotka ich uznanie i poparcie — tu człowiek dwudziestokilkoletni, o którym nic jeszcze, a w każdym razie nic dobrego nic słyszano, szczycił się nietylko znajomością, ale niemal konfidencyą z ludźmi, zajmującymi wysokie rodowe, obywatelskie i urzędowe stanowiska. A wszystko dlatego, że „może być potrzebny!" Kto on jest, mniejsza o to, czy nas skompromituje, również mniejsza, byle nam w tem lub owem posłużył, byle naszym nieprzyjaciołom politycznym czemkolwiekbądź zaszkodził. I chociaż wkrótce się pokazało, że *doktor* Orłowski nie jest wcale doktorem, choć przy tej sposobności wyszły na jaw różne jego nieciekawe sprawki, choć D-ra Asnyka uwolniono od stawania z nim na placu, choć podobne uwolnienia już przedtem we Lwowie miały miejsce — to wszystko nie przeszkodziło naszym pp. stańczykom do kokietowania z p. Orłowskim, do zaszczycania go swą przyjaźnią, a lokalu redakcyi swą bytnością.

Mimo to jednak z *Kuryerem* było źle, bo pan *naczelny redaktor* miał zbyt wielkie wymagania. I żył wesoło i cały sztab współpracowników utrzymywał i pismo powiększył, a prenumeratorów miał niewielu. Znalazł się wtedy pewien pan, co nie wierzył w Kopernika, a uwierzył w Dra Orłowskiego. A więc ten pan *niby* kupił pismo i zaczął dawać pieniądze. Umowa była idealną: właściciel zobowiązywał się ponosić wszelkie niedobory, a nie wolno mu było redaktora zmienić pod karą 20.000 złr. Hulaj dusza! pomyślał p. Orłowski i dalejże ułatwiać właścicielowi pozbywania się nikczemnej mamony. Później nawet bracia właściciela zaczęli sięgać do swoich kieszeni. Szło bardzo wesoło. Najęło się wspaniały lokal, płaciło się po 200 złr. miesięcznie recenzentowi teatralnemu, założyło się filię we Lwowie. Służba w przedpokojach anonsowała, robiło się kosztem wydawnictwa wielką wycieczkę do Pragi, dawało się ryciny, przedstawiające pobyt Dra Orłowskiego w Bytomiu i w Towarzystwie strzeleckiem, sypały się, jak z rękawa, kolacyjki, obiady, śniadanka, bukiety dla aktorek, prezenciki etc. etc., płaciło się dorożkarzom po kilka guldenów dziennie, sprawiało się huczne imieniny i t. d. i t. d. Naturalnie styczność z Bankami była coraz większa, w każdej instytucyi finansowej rosła olbrzymia ilość autografów redaktora, właściciela i osób postronnych. Po paru latach tej melioracyi *Kuryera Polskiego* spostrzegł nareszcie właściciel, że ten świetny interes... nie przynosi mu żadnych dochodów. Podobno w pokorze ducha sądził, że stracił zaledwie kilkanaście tysięcy, bo obyczajem wielkich panów, nie chciał się trudzić notowaniem terminów wekslowych. Ale kiedy szedł pozew za pozwem — bo pan „naczelny" nie miał czasu upłat załatwiać — zaczął adwokat właściciela rachować i dorachował się podobno ładnej sumki 120 tysięcy deficytu. Niewiadomo, czy w tej chwili w Kopernika uwierzył, ale przestał wierzyć w Dra Orłowskiego, bo choćby ziemia się nie toczyła, to potoczyły się pieniądze. Podziękował więc grzecznie panu *naczelnemu* za zwiększenie obrotu finansowego i prosił go jeszcze grzeczniej o znalezienie sobie drugiego takiego, coby miał pieniądze, a nie wierzył w Kopernika. *(D. n.)*

ŻYDZI w ARGENTYNIE.

Na jakiemkolwiek ciele usadowi się pasożyt zwany żydem, wszędzie te same wywołuje skutki. Od lat kilku filosemicka prasa wypisywała cuda o kwitnącym stanie kolonij żydowskich w Argentynie, piejąc hymny pochwalne tak na cześć ich założyciela, jako też na cześć dzielnych potomków Sema, którzy mieli jakoby wykazać w tej oddalonej krainie wielkie zdolności kolonizacyjno-cywilizacyjne. Posłuchajmy co o tem sądzi p. A. S. Jonin, poseł rosyjski w Rio-Janeiro w dziele swem p. t. »Przez południową Amerykę«, — człowiek, którego stanowisko dyplomatyczne i znajomość miejscowych stosunków uprawniają do wypowiedzenia zdania w tej mierze.

»Już dziś obawia się rzeczpospolita Argentyńska elementów rozkładowych, które mogą zniszczyć dopiero rozpoczynający się proces życiowy — obawia się zatruć pierwiastki, z których ma powstać nowe życie i dla tego wpuszcza w swe granice bez ograniczeń wszystkich emigrantów z wyjątkiem żydów.

Nie należy tego postępowania przypisywać jedynie politycznemu fanatyzmowi rządzących, gdyż w razie gdyby to postępowanie nie odpowiadało rzeczywistym interesom większości emigrantów, stanowiących tu żywioł decydujący a pochodzący przeważnie z tych krajów Eu-

ropy, gdzie najwięcej się pisze i działa dla równouprawnienia żydów, to nie mogłoby ono wejść w życie.

Do jakiego stopnia rzeczpospolita Argentyńska uprawnioną jest do wyjątkowego postępowania, wykazują jaskinie zepsucia w Buenos-Ayres. Wstęp do kraju żydom nie jest wprawdzie bezwarunkowo wzbroniony, zawisłym jest jednak od wykazania przez każdego pojedyńczego żydowskiego wychodźcę, iż jest albo rzeczywiście kupcem z odpowiednim kapitałem, albo technikiem, albo inżynierem, lub artystą, posiadającym dyplom ze specyalnych zakładów w Europie. Pomimo to w Buenos-Ayres powyższych kategoryj żydów znajduje się bardzo niewielu. Większość żydów, którzy się tam pod rozmaitymi pozorami wcisnęli — zajmuje się głównie uprawianiem prostytucyi.

Jaką zaś rolę odgrywa w takiem mieście jak Buenos-Ayres prostytucya, można łatwo pojąć, zważywszy, że jest ono stekiem najrozmaitszej hołoty, składającej się przeważnie z ludzi młodych, silnych i bezżennych. Wyzyskiwanie zmysłowości tych ludzi wzięli sobie żydzi za zadanie i, w tym celu, stworzyli rzeczywisty, dobrze zorganizowany handel.

Wywóz kobiet ze starego świata, jako towaru, jest przez nich podobnie zorganizowany, jak wywóz materyi bawełnianych, lub szyn żelaznych. Handel ten ma tutaj swoje kantory, swą administracyę. Kantory te mają znów w Europie niezliczonych agentów i commis voyageurs'ów. Żywego towaru dostarczają w największej ilości Austro-Węgry i Rosya południowa i jest to prawie jedyny przedmiot handlu między temi państwami a Stanami La Plata. O ile się miasto Buenos-Ayres powiększa i zbogaca, o tyle większe rozmiary przybiera ten handel. Z okolic dolnego Dunaju podobny handel istniał już oddawna w kierunku Wschodu — ztamtąd jednak powracały dość często nieszczęśliwe istoty w progi domowe — z jaskiń i błota zepsucia w La Plata, oddzielonych przestrzenią oceanu, ztamtąd, gdzie panuje niepodzielnie hyena żydowska, powrót dziewcząt jest niemożebnym.

Całe partye dziewcząt z okolic południowych Węgier, Wołynia, Podola i Bessarabii, gdzie ludność jest uboga, a kobiety odznaczają się pięknością, bywają wysyłane jako emigrantki, a całym tym interesem kierują austryaccy i rosyjscy t. j. tak zwani »polscy żydzi.«

ZE ŚWIATA.

Przeszedł już pełen ruchu, wystawy i uroczystości okres podróży cesarskich w połączeniu z manewrami wojskowymi, które odbyły się w rozmaitych stronach naszej monarchii. Nie wszędzie koła interesowane odniosły z pobytu monarchy te same wrażenia: o ile Galicya odczuła z zadowolnieniem całą doniosłość słów cesarskich, wypowiedzianych kilkakrotnie do przedstawicieli obywatelstwa, władz autonomicznych i rządowych — o tyle znów nieprzyjaźnie naprzeciw siebie stojące stronnictwa na Węgrzech rozmaicie tłomaczą sobie, każde wedle swego widzimisię, przemówienia króla apostolskiego do deputacyj w Güns przyjmowanych. Z właściwym sobie nietaktem podniosła partya niezawisłych w Sejmie węgierskim tę sprawę. Jako charakterystyczny moment zaznaczyć należy, że nawet żydowsko-liberalna prasa madjarska zaczyna tracić nadzieję rychłego załatwienia projektu reform kościelno-politycznych, a to wbrew poprzednio rozsiewanym przez nią pogłoskom, jakoby Korona w zasadzie na ów projekt się zgodziła.

Austryacka Rada Państwa, która zbierze się dnia 10 b. m., odbędzie, o ile spodziewać się można, bardzo ważną sesyę. Oprócz reformy podatkowej, której tyle czasu już oczekujemy, musi ostatecznie przyjść do skutku jakieś stanowcze ukształtowanie się stronnictw, względnie większości, która byłaby w stanie z jednej strony stawić opór młodoczechom, zamierzającym staczać nowe borby na arenie zapewniającej im do pewnego stopnia bezkarność, z drugiej zaś — która dozwoliłaby raz przecież hr. Taafe'mu kierować nawą państwową nie *vom Fall zu Fall*, lecz w jakimś określonym kierunku.

Pomiędzy niemcami, którzy byli dotąd największą podporą centralizmu w Austryi, zaczyna się objawiać ruch, będący znakiem czasu, mianowicie zarówno w Tyrolu, jak i innych południowych prowincyach o mięszanej ludności, koła niemieckie zaczynają się przychylnie odzywać o dążnościach autonomicznych, twierdząc, że upadek niemczyzny w tamtych stronach należy przypisać szkodliwym wpływom centralizmu (*sic!*).

Dowody przyjaźni, które nawzajem składają sobie sprzymierzeni monarchowie, nabrały wybitniejszej cechy przez udział, który wziął niestrudzony podróżnik cesarz Wilhelm w wielkich manewrach austryackich, i przez niezwykłe odznaczenie, jakie spotkało austryackiego szefa sztabu generalnego ze strony niemieckiej.

Wizyta ta miała charakter pewnego rodzaju egzaminu, w którym *de visu* chciał się Wilhelm II. przekonać o wartości naszej armii.

Zestawiwszy nasze wielkie manewry z takiemiż w Niemczech, we Francyi, Włoszech i z wizytą eskadry rosyjskiej w Tulonie, nasuwa się przypuszczenie, iż mocarstwa pierwszorzędne robią przygotowania na wszelki przypadek, a powiększając ciągle stan prezencyjny swych wojsk, nie zdradzają zamiaru wyjścia z błędnego koła, w którem ćwierć wieku się znajdują.

Żelazny Książe zaczyna zwolna wypływać na wierzch. Cesarz-podróżnik interesuje się mocno jego zdrowiem, a dzienniki, szczególnie przychylne dawnemu porządkowi rzeczy, wysnuwają ztąd wnioski o zmianie dzisiejszego kursu polityki — o czem jednak wątpić należy, gdyż wiele rzeczy zmieniło się od chwili ustąpienia z widowni politycznej tego człowieka, któremu nieboszczka cesarzowa Augusta nadała słuszne przezwisko: ein Blutmensch.

Zamach anarchistyczny w Hiszpanii, którego ofiarą o mało nie padł marszałek Martinez Campos, w związku z na czas odkrytym spiskiem w Wiedniu i ze sporadycznie, lecz ciągle, zdarzającymi się w całej Europie atentatami tego rodzaju, wykazuje ciągłość i łączność tego rodzaju robót na całym świecie. Dziwić się jedynie należy, iż rządy, które, bądź co bądź, dbać winny nietylko o bezpieczeństwo swych poddanych, lecz także o zapewnienie porządku moralnego u siebie — dotąd nie zawiązały spólnej akcyi w tym kierunku, aby ukrócić szalone wybryki już nie fanatyzmu politycznego, lecz poprostu obłędu społecznego, który, wyrósłszy na gruncie socyalizmu, międzynarodowego — jest plagą i hańbą naszego stulecia.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

O. Bernard Łubieński. *Żywot Błogosławionego Brata Gerarda Majella ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów.* Nakł. księg. Spółki wydawniczej Kraków 1893. str. 428. Cena 1.20 fl.

Znany misyonarz w naszym kraju, a członek jednego z najpożyteczniejszych u nas zgromadzeń zakonnych O. Bernard Łubieński, skreślił żywot bł. Gerarda z całą właściwą sobie i prostotą i nauką. Godłem tej książki są słowa Ewangelii „Zkądże temu ta mądrość i te cuda? Iżeż ten nie jest syn rzemieślniczy? (św. Mat. XIII. 54).“ Jak wszystkie żywoty Świętych tak i ten żywot dwie ma strony obrazu: jedną do naśladowania, drugą tylko do podziwiania. Opis cudów i łask nadzwyczajnych zaleca się ścisłością, której nie raz smutny brak u pisarzy kościelnych spostrzegać się daje. Nadto szczególniejsze jakieś ciepło, dalekie od wymuszonej przesady wieje ze wszystkich kartek tej książeczki. Miłym zaś jest ten żywot przedewszystkiem dlatego, że stanowi cząstkę chrześcijańskiego herbarza tych, którzy innych herbów nie mają.

Rogier hr. Łubieński. *O powołaniu zakonnem.* Przekład z oryginału angielskiego. Nakł. księg., wydawniczej Kraków 1893. Str. 68. Cena 20 ct.

Książeczka ta napisana jasno, a przetłumaczona udatnie, ma z założenia swego być doradzcą i drogoskazem dla osób mających chęć wstąpienia do zakonu. Wybór stanu rzecz to niezawodnie trudna. Wymaga zatem gruntownego i wszechstronnego zbadania tej kwestyi. Książeczka hr. Łubieńskiego nie wywiązuje się z tego zadania dostatecznie. Pomija naprzykład kolizyę człowieka między obowiązkiem względem ojczyzny a powołaniem zakonnem. Obowiązki też względem ubogiej rodziny nazbyt lekko się tu przedstawiają, położone na wadze zbyt wygórowanej ascezy. Należałoby też zamieścić wskazówki co do wyboru zakonu kontemplacyjnego lub czynnego, a nawet rzucić pogląd na potrzeby reformy nie jednego z dzisiejszych zakonów odnośnie do potrzeb naszego społeczeństwa kształtującego się dzisiaj zupełnie inaczej, niż za czasów SS. Tomasza lub Alfonsa.

Bogiem a prawdą. Powieść z niedawnych czasów. Wydanie 2-gie przejrzane i poprawione. Kraków 1894.

Powieść ta niezwykle jasną nacechowana tendencyą, pisana jakby krwią serca. Postacie charakterystyczne, wielkie, olbrzymie — niedościgłe. Tyle potęgi uczucia a zarazem tyle cnoty i zaparcia samego siebie, nie mieszka razem w tem samem kruchem sercu człowieka. Każdy przeczytawszy tę powieść musi sobie powiedzieć: „Piękne to, ale, jak bajka z tysiące i jednej nocy, idealne, i nazbyt dalekie od rzeczywistości.“

Stosownie też wybrał autor na motto swej książki, słowa, które Krasiński mógł napisać w chwili przejściowego natchnienia, ale których nie mógłby powiedzieć bezstronnie wśród prozy swego życia — i charakteru:

„I mnie też Anioł wybawi z otchłani
I ja też miałem Beatrycze moją“.

(l) **T. T. Jeż.** *Po ciemku.* Kraków 1893, nakł. Bibl. Domowej (L. Zwoliński i Ska).

Posługiwanie się ostatecznościami — rzadko kiedy prowadzi do celu; to też, pomimo uznania dla imienia autora, twierdzić musimy stanowczo, że powieścią „Po ciemku“ nie osiągnął zamierzonego rezultatu.

Pragnął on, zdaniem naszem, dać nam rodzajowy obrazek, malowany na tle ciemnego, biednego ludu na Podolu.

Obrazek ten malowany w szczegółach po mistrzowsku — dał nam całość zupełnie prawie niezrozumiałą.

Czytelnikowi mimowoli nasuwają się dwa zasadnicze pytania: czy autor chciał nam prawdę dla prawdy odmalować, czy posługując się fantazyą, tendencyą miał na celu?

Ani jednego, ani drugiego w utworze Jeża dopatrzyć się nie możemy.

Ogrom nędzy rodziny Blizniuka przedstawia nam w najstraszniejszych barwach. Chata grzybami porosła — na dziewięcioro dzieci, ośm kalek — pożywienie to liście buraczane i niekiedy niesolone ziemniaki. Nędza, przesądy, zgnilizna moralna, nie omijająca nawet dworu, oto tło na którem widnieje krystalicznie czysty charakter zgłodniałego Bliźniuka... i to do czasu, bo przychodzi chwila, w której dziecko jego kaleka, niemowa staje się wróżbitą i źródłem bogactwa dla ojca.

Kto z tego kaleki zrobił tak wpływowego wróżbitę — niewiadomo, to tylko pewna, że w czasach do których autor opowieść odnosi, nie było w Europie tak ciemnego narodu aby *do tego stopnia* dał się znachorstwu, czy wróżbiarstwu wyzyskiwać.

Tyle co do nienaturalności w zgromadzeniu i wiązaniu faktów.

Tendencya powieści, ta chęć szukania światła dla *ciemnoty* także nie zrozumiała, a etyczna strona silnie jest naruszona. Bliźniuk miał jedno zdrowe dziecko, córkę Oksanę — krasawicę, w którą dziedzic sobie upodobał i chciał ją użyć jako teorbanistkę przy zielonych stolikach, na jarmarkach, na których szlachtę w karty zgrywał.

Oksana ucieka w świat za góry i morza — i po latach wielu, kiedy ojciec jej, dzięki kalece, pełne zasieki złota posiadał — jako można pani zjawia się ona w siole, widząc jednak zmianę w położeniu rodziny... opuszcza ją na zawsze, nie dawszy się nawet poznać swym rodzicom.

Autor tu i owdzie usprawiedliwia wprawdzie nagromadzenie „nadzwyczajności“, — taka jednak „excusa“ osłabia całość i tak już w założeniu nie zbyt silną.

Za to język poprawny, znajomość dokładna wiejskiej zagrody — i to, Jeżowi właściwe, swojskie, proste pióro — równoważą w znaczej części ujemnym stronom powiastki.

(l) **G. Maspero.** *Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrya.* Przekład. Warszawa 1894. Nakł. Teodora Paprockiego i Ski (Skład główny w Krakowie u L. Zwolińskiego i Ski).

Autor „Historyi starożytnej Wschodu“ której wykładem zasłynął jako badacz i profesor w „Collège de France“, opisuje nam w swych „opowiadaniach“ dwie zamierzchłe epoki narodów, od których Grecya późniejsza, czerpała swą cywilizacyą. W Egipcie epokę Ramzesa II (wiek XIV przed Chr.), w Assyryi epokę Assurbanipala (w. VII przed Chr.).

Dzieje starożytnego Wschodu, pozostaną na zawsze niewyczerpaną skarbnicą dla badacza; żmudną w studyach, ale ponętną, pracowitą, ale przez myślące społeczeństwo naszych czasów sowicie nagradzaną.

Maspero, przedstawia nam przed-Chrystusowe czasy Egiptu i Assyryi w nowem oświetleniu. Nie ma tam nagromadzenia faktów, powiązanych — jak zwykle suchym łańcuchem chronologii historycznej — ale na wzór opowieści Bulwera, lub gawęd geograficznych Strabona, zapoznaje on czytelnika z najdrobniejszymi szczegółami życia i pożycia ówczesnych ludzi z nad Nilu i Tygru, z ich ustrojem politycznym i społecznym, z ich kultem, przemysłem, handlem itp. Pełen ciekawych szczegółów, indukcyjny pogląd na ówczesną cywilizacyę, przystępna forma, treść nowa, dotychczas przez historyków i badaczy nie poruszana, żywo każdego czytelnika interesować musi.

Szkoda tylko, że książka kosztuje aż *2·35 złr.* a tem samem dla szerszego ogółu, nie może być przystępną.

ROZMAITOŚCI.

Upadek stanu włościańskiego. W ostatnich 13-tu latach sprzedano w Czechach 46.389 mniejszych posiadłości drogą przymusową w ogólnej wartości 206.077.018 złr. W Galicyi w okresie lat 1881—1892 sprzedano takichże posiadłości 21.881 w wartości przeszło 23 miljonów reńskich. Na Węgrzech 40% włościańskiej posiadłośc ziemskiej znajduje się w rękach żydowskich przeważnie lichwiarzy, 30% zaś jest już do *maximum* obdłużoną.

Nieco o socyalno-demokratycznych pracodawcach. Pewna ilość robotników w Saksonii, porzuciwszy korzystne zarobki, dała się namówić do przyjęcia zatrudnienia z założonych przez socyalistów t. z. *Waaren-Vertheilungs und Consum-Verein*'ach. W tych czasach odbyło się ogólne zgromadzenie tych robotników, z protokołów którego można dowiedzieć się ciekawych rzeczy. I tak „towarzysze“ domagają się od „towarzyszy“ 90 godzin pracy tygodniowo, spoczynek niedzielny bywa tylko w bardzo rzadkich wypadkach dopuszczany, zapłatę obniżono do 15-tu, a nawet w niektórych wypadkach do 12-tu marek tygodniowo. Jak zaś „towarzysze“ obchodzą się z zatrudnionymi przez siebie pracownikami, można nabrać z tego wyobrażenia, iż śpiew i gwizdanie są w lokalach pracy *zakazane.*

Jakże miłem i swobodnem będzie życie w socyalno-demokratycznem państwie przyszłości!

Żydzi w Libawie. Oto co pisze *Nowoje Wremia* o stosunkach w Libawie, która nabrała obecnie wielkiego znaczenia, jako nowoutworzony port wojenny rosyjski:

„Wśród 50000 mieszkańców Libawy stanowią żydzi $^1/_5$. Przyczynili się oni znacznie do tego, że rusyfikacya czyni między miejscową ludnością znaczne postępy. Pierwsi oni zaczęli mówić po rosyjsku, przechylając się wedle zwyczaju na stronę tych, co posiadają władzę w swem ręku. Teraz nawet między sobą używają państwowego języka, chociaż ich nikt do tego nie zmusza“.

Co to za poczciwi moskale z tych żydów!

Wyrób piwa. Pismo *Revue d' Hygiène* podaje wyrób piwa w Europie na 138 milionów hektolitrów. W liczbie tej Niemcy produkują 47.802.939 hl.—Anglia 38.852,991 — Austro-Węgry 13.728.41 — Francya 10.640.000 — Rosya 7.200.000 — Dania 2,186.000.

Wszystkie inne państwa europejskie produkują ilości znacznie mniejsze, które jednak w stosunku do liczby mieszkańców są wcale pokaźne np. Niderlandy 1,900.000hl. — Szwajcarya 1,073.000 hl. Z innych części świata, tylko Ameryka północna z 36.913.614 hl zajmuje poważne miejsce.

KRONIKA.

Polska panorama. Dziwimy się panu Sidolemu, że w cyrku darzy nas językiem niemieckim, a tu polak — przedsiębiorca wielkiej krakowskiej panoramy p. Kaczurba, porozlepiał po rogach ulic afisze w polskim i w ***niemieckim*** języku.

Bardzo to ładnie, w imię postępu, kształcić ludzi choćby nawet panoramą, ale nie rozumiemy, co znaczy ten tekst niemiecki na plakatach. — Kto go ma czytać? — Mała garstka niemców — wojskowych, czy liczny zastęp żydów.

Na pierwszych liczyć nie można, jeżeli zaś chodziło o drugich, a tem samem o „interes“ to mógł p. Kaczurba pójść za przykładem p. Wojneki i czcionkami hebrajskimi reklamować swoje arcydzieło. Byłoby to — przynajmniej logiczniejsze.

Gdzie moralność? Bardzo często dają się w pismach codziennych spotykać ogłoszenia tego rodzaju: „Poszukuje się *bezdzietnego* rządcy, ekonoma, lokaja...“ lub t. p. Ludzie, których Opatrzność obdarzyła potomstwem, skazani by byli na śmierć głodową, gdyby wszyscy pracodawcy dawali zatrudnienie jedynie osobom bezżennym lub bezdzietnym. Znamy także w Krakowie takich panów kamieniczników, którzy za warunek wynajęcia mieszkania stawiają swym lokatorom nieposiadanie dzieci. Jestto postępowanie w wysokim stopniu niemoralne, gdyż, albo zmusza ludzi do przeciwnego zasadom chrześciańskim postępowania, albo też utrudnia im, bez ich winy, warunki bytu. Ojciec obarczony liczną rodziną, a chcący uczciwie na jej wyżywienie pracować, powinien zamiast utrudnień, spotykać wszelkie ułatwienia ze strony społeczeństwa — jeśli nie chcemy, aby i tak już mocno zagrożona moralność chrześciańska miała zupełnie zniknąć z powierzchni świata.

Gazecie kościelnej, zgorszonej naszym artykułem „O dziedziczności ducha i majątku“, zwracamy uwagę, że wszelkie cytaty. dzieł teologów, jak i w ogóle wszelkie dowody powagi zewnętrznej, w kwestyach *nie dogmatycznych*, ale czysto społecznych, żadnej zgoła nie mają wartości. W tej dziedzinie popłacać mogą tylko argumenty rozumu i wywody praktyczne, których chętnie bylibyśmy wysłuchali i kwestyę dziedziczności roztrząsnęli praktycznie i omówili jej zastosowanie w poszczególnych wypadkach.

Dziwić się zaś tylko, porównywać zasady nasze z zasadami *Nowego Robotnika*, cytować moralistów, kanonistów i jurystów, to troszkę ubliżające, nie dla nas wprawdzie, ale dla samej kwestyi dziedziczności, no i dla tak poważnego pisma, jak *Gazeta Kościelna!*

Ciekawy to objaw, że zarówno pisma socyalistyczne, jak i *Gazeta Kościelna*, zarzucają nam czerwoną demagogię. Widno, że pomiędzy tymi dwoma skrajnymi obozami stoimy w pośrodku — *in media via aurea* — łącząc to, co w myśl Ojca św. połączyć należy: słuszne zasady socyalizmu z *prawdziwym* duchem katolickiego Kościoła, aby tak wytworzyć i wcielić wielką ideę katolickiego socyalizmu.

Tajny związek. Skończyła się sprawa odkrytego przez policyę „Związku straży narodowej pod opieką M. Boskiej Częstochowskiej“, o którego bohaterskich „sądach doraźnych“ wspominaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Pracy“. Po przeprowadzeniu sądowego śledztwa, gorąco kąpana młodzież została wypuszczoną na wolność. Godne to uznania ze strony władzy, gdyż jakkolwiek nocne „wymierzanie sprawiedliwości“ (?) przez związkowych, sprzeczne było z ustawami państwa i prawami honoru, to jednak słusznie upatrywać tu należy pewne tylko nadmierne naprężenie młodzieńczego zapału, co, pomimo wybryków w każdym razie jest sympatyczniejszem, niż przedwczesna dojrzałość i martwota ducha.

Pięć dekanatów a jeden ks. Stojałowski „Katolickie“ dzienniki, jak błogosławiony *Kuryer Polski* i prawowierny *Czas*, ogłosiły odezwy pięciu dekanatów, a na czele bocheńskiego i tarnowskiego, wymierzone przeciwko ks. Stojałowskiemu. Prywatnych opinij tej cząsteczki duchowieństwa naszego nie poddawalibyśmy krytyce, ale rzecz publiczną publicznie ocenić się godzi. Wystarczy krótko zważyć na szali sprawiedliwości, jaki z tej odezwy pożytek, a jaka szkoda? Biskupi od garstki niższego duchowieństwa obrony nie potrzebują. Lud nie zrazi się tem do ks. Stojałowskiego. Ks. Stojałowski też po przeczytaniu tej odezwy z pewnością ani się nie przestraszy, ani nie poprawi. Kraj również nic na tem nie zyska, chyba może z wyjątkiem kilku krawców, robiących kanoniczne ekspozytury, lub rokietę i mantolety. Więc nikt ztąd żadnego mieć nie będzie pożytku. Za to szkody będą niemałe. Najprzód bowiem z odezw tych widnieje pewien cień fanatyzmu, łamiącego świecę nad głową kapłana, który przecież nic nie napisał przeciwko wierze lub moralności. Powtóre, postępek ten jest nietaktowny i niepolityczny wobec ludu, bo zrazi do duchowieństwa tłumy tego ludu, stojące za ks. Stojałowskim; który mimo swojego *Syllabusu*, rzeczywistym i niemal jedynym jest obrońcą słusznych praw ludowych. Po trzecie odezwa dekanatu tarnowskiego, bocheńskiego i t. d. tchnie pewną służbistością dla arystokracyi, co niezawodnie ubliża powadze i godności kapłańskiej i *całkiem mylnie* tłumaczonem być może przez obozy niechętne kościołowi, jako wyraz stronniczych, stańczykowskich zasad całego duchowieństwa naszego.

Krakus nie posiada się z radości wobec odezw kilku dekanatów przeciw Ks. Stojałowskiemu wymierzonych. Radość ta nadmierna do tego stopnia zamąciła *Krakusowi*... atrament, że w pobożnem weselu ducha wskazuje światu jako ks. Stojałowski *„godzi w powagę Kościoła i chce Go obalić“*. Niech *Krakus* przestanie się niepokoić o losy Kościoła, bo o czemże będzie myślał Ojciec św. Niech *Krakus* nie wysila się tak mocno w podpieraniu Piotrowej Opoki walącej się już pod ciosami ks. Stojałowskiego — bo szkoda sił szacownych. Lepiej niech *Krakus* zatelegrafuje do Watykanu po suspensę i ekskomunikę na ks. Stojałowskiego, oraz po *interdykt* na wszystkie miejsca gdzie stąpi jego noga, do Wiednia zaś po kilka dział Kruppa największego kalibru i rozkaz zbombardowania redakcyi *Wieńca Pszczółki i Dzwonu.*

Odpowiedź „Przeglądowi“. *Przegląd* lwowski z d. 26 z. m. zamieścił sążnisty artykuł ks. dra J. C. wymierzony przeciw rozprawie naszej *„o Dziedziczności“*. Na wszystkie wywody ks. dra J. C. zgodzilibyśmy się najchętniej, gdyby one nie opierały się na dwóch zasadnich błędach przez ks. dra nierozważnie popełnionych. Pierwszym z nich—to z gruntu fałszywie postawiona zasada, że „równoważnikiem pieniądzy czy własności“ nie jest praca — bo „pierwotna forma własności polega na wzięciu w posiadanie (*occupatio*)“ Zapewne, jest to fakt historyczny, że tak było kiedyś, ale nie zasada prawna, że tak być zawsze powinno. Drugim błędem dra J. C. jest zarzut, że my, żądając zniesienia dziedziczności, tem samem obalamy prawo własności, gdyż prawo to, mieści w sobie konieczność *dowolnego* rozporządzania rzeczą. Pytamy ks. dra J. C. czy poganin, co złoto

swoje rzucił w morze miał prawo tak uczynić? Czy milioner zapalający cygaro np. sturublówką prawnie postępuje — wobec ustaw sumienia, wobec przykazań Bożych? Widzi więc ks. dr. J. C., że „dowolność rozporządzania“ musi być ograniczona wyższemi prawami moralno-społecznemi. Inaczej taka dowolność nieograniczona — staje się kradzieżą i łupiestwem.

Wszystkie następne argumenty i cytaty z Encykliki Ojca św. tem samem upadają wobec błędnych tych pojęć zasadniczych.

Że np. p. Matusiak patrząc na ks. Stojałowskiego, boi się o Kościół i plecami go swemi podpiera, temu nie dziwimy się wcale, ale że ksiądz i to doktor, czytając *Pracę*, lęka się o naruszenie prawa własności — to nas mocno zadziwia.

Henryk Rewakowicz. Na odbytem zgromadzeniu przedwyborczem na posła do Rady państwa we Lwowie. wystąpił jako kandydat, znany publicysta Henryk Rewakowicz. Interpelowany przez prof. Jaegermanna w sprawie *powszechnego głosowania*, mowca zaznaczył że prawo to uważa za ideał, do którego ludzkość dążyć powinna. Najważniejszą jednak częścią jego mowy, były słowa wypowiedziane gorąco w skutek interpelacyi p. Teitelbauma, który zapytał — jakie stanowisko kandydat zajmie w kwestyi żydowskiej i antysemickiej. Tu mowca zaznaczając mimochodem, że niektóre pisma nieprzychylne, zarzucają mu jakoby trzymał z żydami — tak powiedział:

„Jako demokrata nie mogę zasadniczej robić różnicy między wyznaniami; w obliczu Boga i prawa wszyscy są równi. Inaczej ma się rzecz, jeżeli człowiek na każdym kroku zmuszony jest wytykać żydom wady. Czynię to otwarcie i bezwzględnie i to jest powodem, że żydzi w ostatnich czasach zapomnieli o tem, co było dawniej i, przyszli do przekonania, że Rewakowicz jest antisemitą. Nie należę do antisemitów, ale ścigam do krwi, do ostatniej skóry, nadużycia, spełniane przez żydów, tak samo, jak przez chrześcian. Handlem żywym towarem, lichwą, emigracją do Ameryki —zajmują się prawie wyłącznie żydzi — a w organach żydowskich nie znalazłem nigdy artykułu, potępiającego te nadużycia (Głosy: hańba). Bezeceników ścigam, poczciwych popieram (Oklaski). Ze strony żydów stojących na świeczniku, ani jeden głos nie odezwał się przeciw szachrajstwu i łotrostwom żydów. (Oklaski).

Należałem do tow. „Agudas Achim“ (Przymierza braci), miałem wówczas iluzje assymilacyjne, byłem gorliwym członkiem tego towarzystwa, a że assymilacyjne dążenia nie miały powodzenia, nie moja w tem wina. W ostatnich czasach powstały nowe partje żydowskie: „Kadima“ i „Syoniści“. Organizacja syonistów jest albo okropnie idealną, albo też obliczoną na katastrofę. Jako miłujący bliźniego, tak jak nam nakazuje nauka Chrystusa, zwracam uwagę Syonistów, na to, niech się zwrócą z tej drogi, inaczej będzie katastrofa (Oklaski). U nas nie ma antysemityzmu takiego, jak w Niemczech (Brawa). Jeżeli jest, to nurtuje cicho i niewinnie. Cała ludność chrześciańska spodziewała się, że żydzi nie będą prowokować — tymczasem stało się inaczej. Syoniści prowokują chrześcian. (Oklaski). Biedne, przygnębione nasze włościaństwo, garnie się do organizacji Kółek rolniczych i sklepików. Cóż w tem zdrożnego? — tymczasem Syoniści urządzają z tego powodu chryję prowokacyjną i nawołują żydów, ażeby zwalczali tę organizację. Żydzi nie znając przykazania „Kochaj bliźniego, jak siebie samego“ oburzają się na Kółka rolnicze. Proszę zaniechać tej polityki, bo przyjdzie do katastrofy“.

Żydowskie ekscesy. Jeżeli gdzie, to w Rosyi żydowstwo pomimo niby ucisku, staje się z dniem każdym więcej harde. I tak, nie dawno donosiliśmy o awanturach wyprawianych przez nich w Jekaterynosławiu, obecnie znów podobne ekscesy miały miejsce w miasteczku Jedinci w Besarabii. Tamtejsze żydostwo doszło już do takiej arogancyi, że oburza się tem, jeżeli chrześcianie w ich święta sprzedają swe towary na ulicach. W dzień ich Nowego roku napadli na starca prawosławnego, który na rynku sprzedawał melony i nietylko pobili go mocno, ale zniszczyli mu jego towar. Pokrzywdzony w ten sposób, udał się na skargę do przełożonego gminy, lecz to wywołało zbiegowisko takie żydostwa, że zjawiło się ich na rynku około 600, krzycząc i wyjąc przeraźliwie. Kiedy przełożony gminy zjawił się przed nimi, rzuciło się kilku na niego. Toż samo spotkało i policyą, której dopiero nad wieczorem udało się wzburzone tłumy opanować. I cóż na to powie żydowska prasa, nawołująca tak głośno do „spokoju wyznaniowego?.“

Zwyczajem uświęcone zabójstwo. W mieście naszem żyła rodzina złożona z sędziwego ojca, matki i 17-letniej córki. — Ociec człowiek zacny, ogólnie szanowany, mogący w długie jeszcze lata służyć uczciwą pracą społeczeństwu, zmarł przed kilku dniami, dotknięty ciosem który go złamał, — a po którym serce ojcowskie — nie dziw, że bić przestało.

Oto córkę jedyną, ukochane dziecko uwiódł młodzieniec „piszący się“ jednym z poważniejszych obywateli miasta Krakowa, człowiek wiekiem na pewno, a umysłem pono dojrzały.

Kto znał ustrój domowy tej rodziny — ten usprawiedliwi zmarłego, za jego bierność — wobec wstępnego boju młodzieńca. To też nie wchodzimy w szczegóły towarzyszące tej sprawie. Zbyt jednostronne wychowanie i zasłaba macierzyńska opieka, wykoleja często córki — ale honor i uczciwość dojrzałego mężczyzny, to czynniki, bez których człowiek przestaje być człowiekiem winny mu być hamulcem.

Świeży grób ojca, który żył jedynie w swem dziecku i dla niego tak ciężko pracował, zbyt może gorzkie dyktuje nam słowa — ale myśli więzić nie można i powiemy otwarcie że jeśli bydło przeznaczone na stracenie znaczą piętnem, śmierci cielesnej, to owemu panu należy wypalić na czole znamie moralnej zagłady, aby świat wiedział kto i jak dzisiaj tą przedwczesną usypał mogiłę.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Zgorszonej dewotce. Tyś jest owa „Trąba jerychońska“, bo na głos twój, wprawdzie nie mury Jerycha, ale ludzka sława rozsypuje się w gruzy! Tyś jest owa oblubienica w „Pieśni nad Pieśniami“, której „nos, jako cedr Libanu, patrzący ku Damaszkowi“, z tą zapewne różnicą, że nos owej oblubienicy skierowany był tylko ku Damaszkowi, Twój zaś węszy na wszystkie cztery strony świata. Tyś jest wreszcie owa bestya apokaliptyczna, tem od niej różna, że zamiast głów siedmiu, siedmioma obosiecznymi mielesz językami!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Artur Lewandowski.**

W drukarni Aleksandra Słomskiego i Sp. w Krakowie.